

HUGO VON  
HOFMANNSTHAL

*Księga  
przyjaciół  
i szkice wybrane*

Wybrał, tłumaczył i notami opatrzył  
Paweł Hertz

Posłowie  
Wojciech Karpiński

Warszawa 2023

Obecnie wyczuwa się tu coraz to większe upodobanie do ogrodów. Takie zjawiska pojawiają się i znikają, świadcząc w jakiś sposób zarówno o życiu wewnętrznym danej wspólnoty, jak o zamiłowaniach pojedynczych ludzi. Istota rzeczy tkwi tu nie w tym, co w tej dziedzinie zostanie zrobione, lecz w rytmie, w jakim się to odbywa, w akcencie uczuciowym tej sprawy. A jest to w tej chwili uczucie radości. Wielkie miasto nie tylko niechętnie i z obowiązku, przestrzegając przepisów higieny, tworzy niewielkie skrawki zieleni i włącza je do swojej szarożółtej panoramy, lecz z ochotą poszerza swoje granice, żłobiąc je coraz dalej w łożysku niekończących się naturalnych ogrodów i podobnych do nich wzgórz, pośród których jest położone, i nie posiada się z zachwytem, gdy w dwudziestu miejscach zakwitają w nim nowe kępy barw i zieleni. Co kwartał otwiera się nowe ogrody, burmistrz wygłasza krótkie przemówienia, brzmiące o wiele sympatyczniej niż to, co się przeważnie mówi z okazji uroczystości urzędowych, i można się spodziewać, że gęstniejące jaśminy, bzy i berberysy, wielkie pęki rododendronów oraz pnącza powojników i róż z biegiem czasu przesłonią większość owych nieznośnych pomników, co

jak skamieniałe frazesy z jakiejś na pół zapomnianej epoki stoją w każdym kącie, walnie przyczyniając się do zapomnienia tych, ku których czci je wzniesiono.

Ale wszystko to jest jednym ogromnym ogrodem złożonym z tysięcy małych ogrodów i nieuprawnych, ale nadających się pod ogrody wzgórz. Owa całość ciągnie się od Baden na południu po ów zakręt Dunaju na północy z królującym nad nim Klosterneuburgiem tak pięknym, że Napoleon żałował, iż nie może przenieść go do Francji. (Wydaje mi się, że należałoby zapamiętać te drobne fakty, z których wynika, iż Napoleon chciał ów klasztor nad rzeką zabrać z sobą do Francji, że nie pozwolił zburzyć obwarowania Pistoii, ponieważ jej mury, zbyt wysokie i ciasne niby ciemny pancierz, stanowią o urodzie tego miasta, że w Wenecji na zamykającym cały jej obraz, najdalej w morze wysuniętym skrawku ziemi kazał urządzić wielki ogród publiczny. To, że w swoim spiesznym życiu okazywał tyle miłości niektórym okolicom, z pewnością przetrwa w ludzkiej pamięci, a może nawet przemieni się w mit, jak owo podanie o Kserksesie, który miał rozkazać, aby na jakimś starym platanie niezrównanej piękności zawieszono jego złoty naszyjnik). Największe koszta, na których pokrycie nie starczyłoby budżetu żadnego z wielkich miast, a mianowicie wydatki na ukształtowanie terenu tych zielonych obszarów, tu wzięła na siebie przyroda. To dziesiątki tysięcy niewielkich, niezwykle różniących się wyglądem wzniesień i zagłębień, wierzchołków, garbów i grzbietów, pochyłości, rozpadlin, łąków, tarasów i wąwozów; myślę, że w Heiligenstadt lub w Pötzleinsdorf, w Döbling, w Dornbach, w Lainz lub w Mauer nie ma ani jednego ogrodu średniej wielkości, który by nie miał udziału w tym nieprzebranym

bogactwie. Tu nikt nie może się uskarżać, że jego ogród jest mały. Nie ma tu bowiem nawet kawałka płaskiego gruntu, gdzie, przesuwając swoje granice w lewo lub w prawo, można by pozyskać choć skrawek uprawnej ziemi, natomiast prawie każdy z tych niezliczonych ogrodów ma swoje własne oblicze i może stanowić odrębny świat.

To nieważne, czy ogród jest mały czy duży. Jego wielkość tak samo nie wpływa na jego urodę, jak piękno obrazu nie zależy od jego wymiarów, a wiersza – od tego, czy liczy dziesięć czy sto linijek. Uwarrunkowania piękna na zamkniętej z czterech stron murem przestrzeni, co ma piętnaście kroków wszerz i wzdłuż, są po prostu niewymierne. Mogą to być na podwórzu chłopskiego domostwa stojące obok siebie stara lipa i krzywy orzech z lśniącym pośród trawnika kamienną wykładziną korytem, którym płynie woda ze studziennej niecki, i taki widok głębiej wnuknie nam w duszę niż krajobraz Claude Lorraina. Jeden stary klon, jeden majestatyczny buk, jeden ogromny kasztan, który w swojej koronie dźwiga połowę nocy, uszlachetniają cały ogród. Ale nawet nie trzeba, aby to były wielkie drzewa, podobnie jak na obrazie dość, aby tylko gdzieś w jakimś jednym miejscu widniała ciemna rozżarzona czerwień lub lśniąca żółć. Tu, jak i tam, piękno nie zależy od takiej czy innej materii, lecz tylko od jej nieprzeliczonych zestawień. Japończycy tworzą świat piękna w ten sposób, że na aksamitnozielonym trawniku układają parę kamieni niejednakowej wielkości, urozmaicają zakrętami bieg krystalicznego strumienia lub stawiają naprzeciw siebie jeden czy dwa krzewy i jedno karłowate drzewo, a wszystko to mieszczą w dostępnym dla wszystkich ogrodzie nie

większym niż jakiś nasz pokój. Od takiej wrażliwości jeszcze całe światy dzielą nas, nasze oczy, nasze dłonie (a także nasze dusze, to bowiem, co tkwi w duszy, jest także udziałem dłoni); ale mimo wszystko z wolna odzyskujemy utracone uczucia naszych dziadów, a z pewnością – prostszych od nich naszych pradziadów: czujemy mianowicie zgodność rzeczy tworzących ogród, zdajemy sobie sprawę, że panuje między nimi harmonia, że mają sobie coś do powiedzenia, że ich współistnienie jest uduchowione, że, jak słowa wiersza i barwy obrazu, jedno od drugich nabierają blasku, mienia się, ożywają.

Stary ogród jest zawsze uduchowiony. Najbardziej bezduszny ogród, gdy tylko zdziczeje, od razu nabiera duszy. Pośród owych milczących tworów zieleni zaczyna się nieme poszukiwanie i ucieczka, napór i cofanie się, wytwarza się atmosfera takiej miłości i lęku, że gdy jesteśmy tu sami, ogarnia nas niepokój. A przecież nie powinno być nic bardziej uduchowionego niż mały ogród, po którym snuje się dusza jego ogrodnika. Wszędzie tu powinien trwać ślad ręki, która czarodziejskim sposobem wywodzi ku światłu życie każdego z owych niemych tworów, czyści je, kąpie, umacnia i nadaje im blasku. Ogrodnik postępuje ze swoimi krzewami i roślinami tak, jak poeta ze słowami: zestawia je w taki sposób, że wydają się nowe i niezwykle, a zarazem są tym, czym są, i zachowują swój pierwotny kształt. O wszystkim rozstrzyga bliskość lub odległość, w jakiej się od siebie znajdują, pojedyncze bowiem drzewko czy krzak nie są ani wysokie, ani niskie, ani szlachetne, ani nieszlachetne, ani bujne, ani smukłe, określa je dopiero ich sąsiedztwo: mur, na który rzucają cień, grunt, z którego wyrastają,

nadają im kształt i wygląd. To po prostu abecadło sztuki ogrodowej, choć obawiam się, iż mimo to może się zdawać, że mówię tu o rzeczach nader wymyślnych. Ale w każdym ogrodzie kwiatowym panuje taka właśnie harmonia: pelargonie w oknach, malwy przy płocie, główki kapusty na zagonach, między tym wszystkim woda, a skoro jest tu już woda – kępy mietczyków i niezapominajek, gdy zaś dobrze pójdzie – bazylia i goździki, wszystko w należyтым porządku i jedno drugiemu przydające blasku. Podobnie każdy starszy ogród, przylegający do mieszczańskiego lub szlacheckiego domu, ma własną harmonię, myślę tu o ogrodach założonych przed sześćdziesięcioma laty, w których każde większe drzewo stoi oddzielnie, ocieniając jakiś piękny, zaciszny zakątek lub szeroką, prostą, solidnie zbudowaną drogę, kwiaty rosną tam, gdzie chcą i powinny rosnąć, jak gdyby słońce swoim ciepłem wywiodło je z ziemi, a bluszcz tak się tu zżył z każdym kawałkiem drewna i muru, że wydawałoby się, iż jedno bez drugiego nie mogłoby istnieć. Jednak harmonia nie zależy tylko od szlachetnej patyny, którą czas okrył dotknięte nim rzeczy, lecz także od zaplanowania ogrodu, co w swojej godnej prostocie zawiera główne elementy całego kunsztu.

Nie wszyscy mają przy domu stary ogród, toteż ci, co dziś zakładają ogrody, nie powinni go kopiować, mogą natomiast nauczyć się z niego kilku najważniejszych prawd. Kto dziś zakłada ogród, ma w nim wyrazić epokę bardziej subtelną niż ta, w której żyli nasi pradziadowie za czasów Metternicha i Bäuerlego. Ma w nim wyrazić epokę tak osobliwą, tak tajemniczą i pełną wewnętrznego drżenia jak żadna z epok poprzednich,

epokę niezwykle ożywionych wzajemnych stosunków między ludźmi, obciążoną przeszłością i trwożnie wyczekującą przyszłości, pokolenie o niezwykle subtelnej wrażliwości, która, czyniąc je tak chwiejnym, stanowi zarazem źródło jego nieopisanego bólu i bezmierne-go szczęścia. Zakładając ów ogród, będzie w jakiejś mierze pisał swój milczący życiorys, podobnie jak go pisze, tak, a nie inaczej ustawiając meble w swoich pokojach. Równowaga między tym, co mieszczańskie, i tym, co artystyczne (w istocie nic nie jest bliższe układaniu wierszy niż kształtowanie żywej przyrody według własnego upodobania), równowaga między tym, co przyjemne, i tym, co malownicze, między tym, co osobiste, i tym, co należy do wspólnej tradycji, nada nowoczesnym ogrodom niezatarte rysy. Pozostaną tu i będą czymś szczególnym, niby szyfr, jaki każda epoka zostawia epokom po niej następującym. To będą ogrody, w których powietrze i wolna przestrzeń odegrają większą rolę niż kiedykolwiek w przeszłości. Nic tak dobitnie nie określi ich charakteru jak wszechobecna obawa nadmiaru, ustawiczna, wiecznie czujna powściągliwość i bezgraniczne uwielbienie szczegółu. Trzeba będzie mnóstwa wolnej przestrzeni, aby owo dążenie do uwydatnienia szczegółu mogło się tu rozwinąć z właściwą mu siłą. Szczegół bowiem najpierw pochłonie całą wrażliwość tego, kto zakłada ogród. Z początku wyrazi się to w nieskończonym głodzie i pragnieniu uchwycenia poszczególnych elementów piękna. Założyciel ogrodu przypomni sobie, że właściwie nigdy nie zachwycono się pojedynczymi krzakami, pojedynczymi roślinami lub pojedynczymi kwiatami, rzadko kiedy – pojedynczymi drzewami, zwykle bowiem taki pojedynczy kwitnący krzew ginął w całej ich

grupie, a zagajnik zamieniał wszystko w bezkształtny kłęb zieleni. Opór wobec owej „grupy” jako pojęcia ogrodniczego stanie się bardzo gwałtowny i niezwykle owocny, twórcy ogrodów dojdą bowiem do wniosku, że to właśnie „grupa” niweczyła urok różnorodnych kształtów indywidualnych, zastępując je własnym szablonem. Założyciele nowoczesnych ogrodów zaczną więc z zapałem przyswajać sobie dawne najprostsze, geometryczne elementy piękna. Ów zapał z początku wyprze wszystko inne, nawet potrzebę tworzenia miejsc zacienionych. Należałoby już dziś sobie życzyć, aby ów okres, gdy nowo obudzona wrażliwość będzie upajać się pięknem szczegółu, nie był zbyt krótki. Zachwyty na widok kształtu pojedynczego zwieszającego się krzewu, pojedynczej jeszcze nagiej gałęzi liliowca, pojedynczych kłosów, pojedynczego krzaka, pojedynczego kwiatka, do głębi przenikający człowieka, który zna w swoim ogrodzie każdy kieltek, dotyka spojrzeniem każdego lśniącego liścia, delikatnie próbuje palcami siłę każdego młodego pędu – oto na jakich elementach będzie się opierała subtelna, powściągliwa harmonia nowoczesnego ogrodu, a tak jak oczy nadają twarzy blask, barwy już tylko uzupełnią jego piękno. Nieustające, pełne czci umiłowanie szczegółu będzie zawsze wyróżniającą osobliwością tego ogrodu. Niełatwo byłoby tu znaleźć dwie jednakowymi kolorami świecące rabaty lub pięknie kwitnące bliźniacze krzewy.

Nie wiem, czy coś ma więcej wyrazu i urody niż okryta kwiatami róża lub ciemnoczerwony powojnik, gdy spowijają nagi, ale jeszcze potężny pień obumarłego drzewa; taki widok budzi w nas uczucie pewnej tkliwości pomieszane z na wskroś pierwotnym zadowoleniem, że życie przesłoniło tu śmierć. Gdyby



jednak taki widok powtórzył się tu trzykrotnie, straciłby swoją wymowę i wołałbym, aby pnie wykarczowano, a róże rozpięto na ścianie stajni. Pamiętam z czasów, gdy miałem lat pięć, czym dla wyobraźni dziecka był krzew z ulatującymi z niego liśćmi w kształcie serca. Gdyby jednak w ogrodzie było sześć takich krzewów zamiast tego jednego, co rósł w kącie nieopodal starej, tajemniczej kadzi, pod którą mieszkał kret, nic bym z nich sobie nie robił, gdy tymczasem ten jeden wydał mi się jak gdyby powiernikiem królewskiej córki. Nie powinniśmy pod tym względem mieć mniej wyobraźni niż pięcioletnie dziecko i musimy zdawać sobie sprawę, że wielość to czarodziejski środek, który może nam służyć do uwytatniania rytmu, lecz zepsuje wszystko, gdy nieopatrznie pozwolimy mu się plenić.

Dość dawno temu pewna wykształcona pani w starszym wieku zapytała mnie, czy nie sądzę, że pelargonie ogrodowa jest czymś pospolitym. Myślę, że dziś nikt już nie uważa, iż jakiś kwiat może być pospolity. Każdy kwiat budzi naszą wrażliwość i potrafimy odpowiednio posłużyć się zarówno orlikiem pospolitym, jak naparstnicą czy ostróżką. (Z czasem, kiedy się zbogacimy, wracając z ogrodu, będziemy układali w wielkim szklanym wazonie wszystkie kwiaty widniejące na pięknej holenderskiej martwej naturze z kwiatami). Poza tym zaaklimatyzujemy rododendron i azalie, wyhodujemy dubeltowy bez, zabarwimy hortensje na niebiesko, a mieczyki na bladoczerwono i z roku na rok będziemy się bogacić. Zerwiemy wreszcie z okropnym zwyczajem ustawiania w naszych ogrodach tych obcych, nieszczęsnych tworów, jakimi są palmy czy to wachlarzowe, czy gatunku Phoenix. To samo dotyczy

bananów i jukki oraz innych roślin pojawiających się w naszych ogrodach niczym szkaradne, egzotyczne wyrazy w wierszach Freiligratha, których w gimnazjum musieliśmy się uczyć na pamięć. Można przypuszczać, że te żalosne twory znikną wraz z kultem „grupy”, której przecież są ukoronowaniem. W każdym razie duch, dla którego „grupa” będzie czymś tak nieznośnym jak dla pewnej epoki malarstwa pojęcie „kompozycji”, z pewnością przepędzi tych intruzów tak przeraźliwie i beznadziejnie u nas bezdomnych, że gdy ich dwoje albo troje znajdzie się w ogrodzie, wszystko w nim okrywa się smutkiem i brzydotą. Trzeba być szczególnie gruboskórnym, aby nie czuć, że każda ich cecha, odcień ich zieleni, mięsz ich liści, sama ich obecność wielkim głosem krzyczy przeciw wszystkiemu, co je otacza, przeciw trawie, z której nie wyrosły, przeciw krzakom i drzewom, z którymi nic ich nie łączy, przeciw światłu, którego mają zbyt mało, w którym ani się nie kołyszą, ani nie szeleszczą, a nawet przeciw powietrzu, którego nienawidzą. Mówię to zarówno ze względu na nie i na ich przygnębiającą obecność, która napawa niewielki ogród owym smutkiem, jakim tchnie z fałszywym przepychem umeblowany pokój, jak i na to, co sobą symbolizują. W ogrodzie obmyślonym bodaj z odrobiną wrażliwości przez tego, kto, choć nie zasadził jeszcze w nagiej, wyczekującej ziemi ani jednego krzewu i ani jednej rośliny, ale czuje wiedeńskie powietrze i wiedeńską glebę, nie będzie bowiem dla nich miejsca.

*Ogrody (Gärten)* ukazały się po raz pierwszy w wiedeńskim „Die Zeit” z 17 czerwca 1906 roku. W wydaniu książkowym ogłoszono je pośmiertnie: Hugo von Hofmannsthal, *Die Berührung der Sphären*, Berlin 1931.

Wspomnianym tu burmistrzem Wiednia był Karol Lueger (1844–1910), wybitny działacz stronnictwa chrześcijańsko-społecznego, siedmiokrotnie od roku 1895 obierany na to stanowisko. Ponieważ program stronnictwa upatrywał główną siłę w Niemczech, co było trudne do pogodzenia z koncepcją wielonarodowej, wieloplemiennej i wielowyznaniowej monarchii, cesarz Franciszek Józef początkowo nie zatwierdził wyboru Luegera i uczynił to dopiero po odbytej z nim rozmowie.

Wymieniony dla scharakteryzowania epoki tuż obok Metternicha Adolf Bäuerle (1786–1859) był autorem utrzymanych w charakterystycznej tonacji wiedeńskiej licznych wodewilów i komedii, które przez dłuższy czas należały do żelaznego repertuaru stołecznego Volkstheater.